

PAUL FINCH

Stalkerzy

TY MOŻESZ BYĆ NASTĘPNA



PROLOG

Noc przed akcją spotkali się po raz ostatni, by powtórzyć sobie plan.

Byli profesjonalistami. Każdy z nich znał szczegółowo swoją rolę. Niczego nie pozostawiono przypadkowi: zbadali dokładnie cel, przewidzieli i uwzględnili wszelkie możliwe komplikacje. Zgranie w czasie będzie niezwykle ważne, ale ponieważ wszystko drobiazgowo przećwiczyli, nie ma się o co martwić. Oczywiście cel nie będzie się trzymał harmonogramu, więc mogą wyłonić się jakieś problemy. Ale wszyscy pozostaną w kontakcie telefonicznym, a jedną z rzeczy, których nauczyło ich doświadczenie, była umiejętność szybkiego reagowania, jeśli zaś trzeba, także improwizacji. Liczyła się też cierpliwość. Jeżeli plan kompletnie się posypie, aż do tego stopnia, że trzeba będzie radzić sobie z poważnymi zmianami, po prostu się wycofają, przegrupują i podejmą znów działanie w późniejszym terminie.

Zawsze najlepiej jest zadbać o prostotę i bezpieczeństwo. Wszystko zasada się na dobrym planowaniu. Należy zebrać informacje, przyswoić je, a potem uderzyć dokładnie we właściwym momencie, z odpowiednią prędkością i wyćwiczoną precyzją. I pod wieloma względami już to, samo w sobie, było nagrodą. Nic nie mogło się równać pracy przynoszącej satysfakcję.

Kiedy wreszcie wszystko uzgodnili, uraczyli się dobrym alkoholem: butelką trzydziestoletniej whisky Glen Albyn kupionej z dochodu za ostatnią akcję. A gdy tak sobie popijali, niszczyli wszystkie dane, które zgromadzili w trakcie przygotowań: pisemną dokumentację, narysowane plany, zdjęcia, rozkłady jazdy, taśmy zawierające informacje audio, nośniki pamięci pełne materiałów filmowych wykonanych komórkami albo kamerami cyfrowymi. Ułożyli wszystko w koksowniku, na bierwionach i podpałce, oblali gazem do zapalniczek i podpalili.

Gdyby coś poszło nie tak i musieliby zacząć wszystko od nowa – tropienie, obserwację, zbieranie informacji – zrobiliby to bez zadawania niepotrzebnych pytań i utyskiwania. Solidność była najważniejsza, nie uznawali drogi na skróty. W każdym razie, ponieważ tak bardzo koncentrowali się na tej robocie, większość kluczowych szczegółów i tak pozostawała im w pamięci. Musieliby tylko przełożyć rzecz w czasie, co raz już się zdarzyło, ale wówczas to drugie podejście było o wiele łatwiejsze niż pierwsze.

Gdy patrzyli, jak wszystko płonie, a gorące iskry mkną spiralnie ku nocnemu niebu, poklepywali się po ramionach i wznosili toasty: za fart, którego nie będą potrzebowali, i za połów, którym będą się cieszyli tak samo jak pogonią. Osuszyli prawie całą butelkę glen albyn, lecz jeśli obudzą się rankiem z lekkim kacem, to nic nie szkodzi: akcja ma się zacząć dopiero pod koniec dnia. Będą się dobrze czuli. Są w świetnej, wręcz szczytowej formie, jak porządnie naoliwiona maszyna. I oczywiście pomoże im to, że cel nie ma o niczym zielonego pojęcia i wstanie sobie równo z budzikiem, przygotowując się jedynie na kolejny rutynowy dzień.

Wyglądało na to, że tak żyje większość kobiet. Jakże często prowadziło to do ich zguby.

ROZDZIAŁ 1

W piątkowe wieczory w Londynie wyczuwało się atmosferę rozprężenia. Szczególnie przyjemnie było pod koniec sierpnia. Gdy minęła siedemnasta, a wskazówka minutowa sunęła miarowo w kierunku szóstki, czuć było, jak pod ciepłym, zakurczonym niebem miasto się odpręża. Na ulicach panowały typowe dla tej pory dziki zgiełk i chaos – rzeki samochodów płynęły przy wtórze klaksonów, na chodnikach roilo się od pędzących przechodniów, ale znikało ogólne rozdrażnienie. Ludzie wciąż się spieszyli, owszem, lecz teraz pędzili, by znaleźć się w miejscach, w których chcieli być, a nie dlatego, że gonił ich czas.

W biurze firmy Goldstein & Hoff, na szóstym piętrze Branscombe Court, w samym sercu lśniącego City, Louise Jennings czuła się dokładnie tak samo. Zostało jej jeszcze tylko z dziesięć minut papierkowej roboty i można będzie uznać weekend za oficjalnie rozpoczęty – a ona tak niecierpliwie go wyczekiwała. Na sobotni poranek zaplanowała przejażdżkę, a na popołudnie zakupy – potrzebny jej był nowy strój na kolację klubu rotariańskiego mającą się odbyć wieczorem. Niedziela będzie po prostu miłym, leniwym dniem, który, o ile da się polegać na prognozach pogody, mogą spędzić w ogrodzie albo zrobić

sobie wycieczkę na wzgórze Chilterns.

Louise była z zawodu sekretarką, choć to określenie należałoby uznać za mało precyzyjne. Pełniła bowiem funkcję „starszej sekretarki”, czyli zarządzała licznym personelem, większość dnia pracy spędzała we własnym zacisznym gabinecie, a odpowiadała bezpośrednio wyłącznie przed panem Malcolmem Foresterem, który był dyrektorem naczelnym departamentu audytu firmy Goldstein. Zarabiała rocznie okrągłą sumkę czterdziestu tysięcy funtów, a więc całkiem nieźle jak na kogoś, kto ukończył szkołę średnią w Burnt Oak, i była bardzo ceniona przez większość pracowników firmy, szczególnie mężczyzn – chociaż to mogła zawdzięczać zarówno intelektowi, jak i swojej kształtnej trzydziestoletniej figurze, długim jasnorudym włosom i ładnym niebieskim oczom. Louise nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. Była „zajęta” – od sześciu lat w związku małżeńskim z Alanem, z którym chodziła wcześniej przez trzy lata. Ale lubiła wyglądać atrakcyjnie. Wtedy mąż był z niej dumny, a dopóki inni mężczyźni ograniczali się do gapienia, nie przeszkadzało jej ich zainteresowanie. Szczerze mówiąc, swój wygląd traktowała jak broń w prywatnym arsenale. W sektorze finansowym podchodzono do tych kwestii w sposób dosyć tradycyjny. To była patriarchalna społeczność i chociaż niektóre kobiety miały naprawdę sporą władzę, nadal musiały wyglądać i zachowywać się jak kobiety. Kiedy Louise szła na pierwszą rozmowę w sprawie pracy w Goldstein & Hoff, Alan nakazał jej, by się wysztafirowała – włożyła elegancką dopasowaną spódnicę, buty na wysokich obcasach, obcisłą, wydekoltowaną bluzkę. Dzięki temu dostała pracę i odtąd taki strój stał się jej oficjalnym uniformem.

No cóż, to może być trochę uwłaczające: uznać, że osiąga się coś w życiu jedynie dzięki świetnemu wyglądowi,

ale sprawa wcale nie jest taka oczywista. Louise miała znakomite kwalifikacje, lecz wiele innych kobiet również, w związku z czym należało cieszyć się ze wszystkiego, co dawało jakąkolwiek przewagę.

Minęła właśnie osiemnasta, kiedy Louise wyszła z biura i ruszyła pospiesznie na drugą stronę ulicy do Mad Jack's, gdzie miały na nią czekać Simone, Nicola i Carly, jej trzy podwładne, które zostały wspaniałomyślnie zwolnione o szesnastej trzydzieści, co zdarzało się jedynie w piątek.

Mad Jack's, niegdysiejszy elegancki lokal z czasów Dickensa, przeszedł wprawdzie renowację, lecz nadal emanował ówczesną atmosferą. Za tradycyjnymi drewnianymi drzwiami z szybkami znajdowało się marnie oświetlone wnętrze, zaaranżowane na dwóch poziomach, a gdziekolwiek się spojrzało, widziało się drewniane belki, boazerie z twardego drewna i gołe cegły. Jak w każdy piątek lokal pękał w szwach: kłębił się tu tłum rozwrzeszczanych hulaków w garniturach. Natężenie hałasu było zadziwiające. Rechoć odbijał się echem od ścian, brzękowi szkła towarzyszył rumor stołów i krzeseł przesuwanych po solidnej dębowej podłodze. Oczywiście mogło być gorzej: Louise zaczęła pracować w Goldstein & Hoff, zanim wprowadzono zakaz palenia, i w tamtych czasach całe wnętrze zasnuwał dym z cygar.

Cztery dziewczyny stworzyły sobie małą enklawę w jednym z dalszych kątów i rozsiadły się tam wygodnie. Każda wzięła dla siebie sałatkę, ale główne zamówienie stanowiły frytki oraz majonez i ketchup jako dipy. Louise ograniczyła się do dwóch kieliszków chardonnay. Bądź co bądź jako szefowa powinna zachowywać się rozsądnie i godnie, a poza tym czekała ją jazda samochodem do domu. W każdym razie była to wyczekiwana przez wszystkich pora tygodnia; czas na nieprzyzwoite żarciki, surowo zabronione w czasie godzin pracy (przynajmniej na wachcie

Louise). Później zapewne przysiądą się do nich inne koleżanki i koledzy, mężczyźni będą po pijanemu flirtować, a kobiety dzielić się smakowitymi ploteczkami, które właśnie gdzieś zasłyszały. W pewnym momencie wieczoru zapanuje całkowita swoboda obyczajów. O wpół do ósmej Carly piła szósty likier Southern Comfort z colą, a Nicola była pogrążona w rozmowie z młodym przystojniakiem z działu papierów wartościowych. Drzwi ze zdobionymi szybkami otworzyły się z hukiem i do środka wtargnęło jeszcze więcej facetów z City. Rozległy się kolejne hałaśliwe powitania, którym towarzyszył jeszcze głośniejszy ryk śmiechu. Lokal zaczął cuchnąć potem i alkoholem, a Louise zerknęła na zegarek i uznała, że pora się zbierać.

Przed wyruszeniem do domu zeszła na dół, do sutereny, w której mieściły się łazienki. Toaleta dla pań znajdowała się na końcu krótkiego korytarzyka, obok kilkorga innych drzwi – na dwojgu widniał napis „Tylko dla personelu”, na jednych „Panowie”. Łazienka damska okazała się pusta. Louise weszła do kabiny, podkasła spódnicę, opuściła rajstopy i usiadła.

I usłyszała, że ktoś wszedł do łazienki.

Spodziewała się stukotu obcasów zbliżających się do którejś z sąsiednich kabin albo do lustra nad umywalkami. Jednak przez krótką chwilę nie dochodziły do niej żadne odgłosy. A potem usłyszała powolne kroki ciężkich stóp w butach bez obcasów.

Ktoś zbliżył się na parę metrów, po czym przystanął. Louise wyteżyła słuch z zaciekawieniem. Dlaczego nagle odniosła wrażenie, że ktokolwiek to jest, stanął po drugiej stronie drzwi? Spojrzała w dół. Pod tym kątem nie sposób było zobaczyć, co się dzieje przed drzwiami, ale nagle nabrała przekonania, że ktoś tam jest i nasłuchuje.

Zerknęła na zamek. Zasuwka była mocno wsunięta.

Cisza trwała przez kilka sekund, a potem kroki się

oddaliły.

Louise z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Uświadomiła sobie, że zachowuje się idiotycznie. Nie ma się czym przejmować. Znajdowała się tylko kilka metrów pod gwarным tygłem, w który zamieniał się w piątkowy wieczór Mad Jack's.

Ten ktoś raz jeszcze przystanął.

Louise zaczęła znów nasłuchiwać. Czyżby wszedł do innej kabiny? Prawie na pewno tak, chociaż nie było słychać odgłosu zamykanych drzwi ani szczęku zasuwki. Teraz, gdy wsłuchiwała się tak intensywnie, wydało jej się, że słyszy oddech – miarowy, spokojny, ale też głęboki i nieco chrapliwy. Jak oddech mężczyzny.

Może to ktoś z personelu, dozorca albo jakiś monter? Już miała odchrząknąć, by dać znać, że jest tu kobieta, ale nagle stwierdziła, że to jednak zły pomysł. No bo przypuścmy, że ta osoba nie jest z personelu?

Nadal było słychać oddech, a potem odgłos kroków: znów tępe, ciężkie dudnienie na krytej kafelkami posadzce, coraz głośniejsze. Ktokolwiek to był, znowu maszerował wzdłuż szeregu kabin.

Louise nieświadomie uniosła kłykcie do ust. Czy ten ktoś ponownie przystanie przed jej drzwiami?

Ale nie zrobił tego.

Minął kabinę ciężkim krokiem, po czym skręcił ostro na środek pomieszczenia. Sekundę później usłyszała, jak otwierają się, a potem zamykają główne drzwi łazienki. Zapadła cisza.

Louise czekała. Nadal było cicho.

Wreszcie wstała, podciągnęła rajstopy, poprawiła spódnice, ostrożnie odsunęła zasuwkę i wyjrzała. Nie widziała całego pomieszczenia, ale wyglądało na to, że jest w nim sama. Wzięła oddech, pospiesznie ruszyła ku drzwiom, otworzyła je i wyszła na korytarzyk, gdzie stała

jak wryta. W połowie drogi, po prawej ujrzała uchylone drzwi – te z napisem „Tylko dla personelu”. W środku widać było cienką smugę ciemności. Louise wpatrywała się w nią z napięciem. Czyżby dostrzegła tam jakiś ruch? Czy ktoś się tam ukrył, a teraz ją obserwował?

Drzwi otworzyły się z głośnym łomotem.

Mężczyzna, który przez nie wyszedł, był młody i miał na sobie odprasowane czarne spodnie oraz oliwkowozielony T-shirt – strój barmanów. Niósł plastikową tacę z lśniącymi mokrymi naczyniami. Gdy ujrzał Louise i zdał sobie sprawę, że ją przestraszył, uśmiechnął się przepraszająco.

– Wybacz, kochanie.

Niespiesznie ruszył po schodach na górę, w stronę baru.

Z jedną ręką na sercu Louise odważyła się zrobić parę kroków do przodu i zajrzała za rozkołysane wahadłowe drzwi, które się wolno zamykały. Za nimi ciągnął się ciemny korytarz z pudłami ustawionymi pod jedną ścianą, łączący liczne oświetlone pomieszczenia, a na jego odległym końcu widać było otwarte drzwi wychodzące na jeden z podjazdów dla dostawców. Kręciło się tam wielu ludzi z personelu.

Czując się jak idiotka, weszła szybko po schodach i dołączyła do towarzystwa.

Opuściła lokal, z teczką w ręku, tuż przed ósmą. Miała pięć minut drogi do stacji metra Bank, gdzie wsiadła w pociąg linii Central i pojechała do Oxford Circus. Tam przesiadała się na linię Bakerloo.

Zjeżdżając schodami ruchomymi na niższy poziom, skąd odchodziły pociągi w kierunku północnym, zobaczyła, że jest sama. To mogłoby się wydawać dziwne o każdej innej porze dnia, ale teraz był piątkowy wieczór i większość podróżnych zmierzała raczej w stronę miasta, a nie odwrotnie. Łukowate przejścia też świeciły pustkami, a jednak, kiedy Louise przeszła kilka metrów, wydało jej się,

że słyszy za sobą kroki. Przystanęła i nasłuchiwała, lecz teraz nie docierał do niej żaden dźwięk.

Weszła na peron. Tu także nie było żywej duszy. Ciepły podmuch wiatru gnał kilka papierków po lśniących szynach. I wtedy znów usłyszała kroki – wyraźnie się przybliżały. Zaniepokojona, obejrzała się w stronę przejścia, nie dostrzegając nikogo, lecz oczekując, że wkrótce ktoś się ukaze.

Tak się nie stało. A kroki ucichły. Prawie tak, jakby, ktokolwiek to był, wyczuł, że na niego czeka.

Pociąg z jękiem wtargnął na peron za jej plecami.

Z ulgą wsiadła do wagonu.

Na Marylebone, znów wśród innych podróżnych, kupiła wieczorną gazetę i napiła się kawy, zanim wsiadła do pociągu do High Wycombe. Dochodziło wpół do dziewiątej. Czas jej nie gonił – Alan, który był właścicielem firmy ubezpieczeniowej, spędzał piątkowe popołudnia na kursie golfa i pewnie jeszcze dobrze po jedenastej będzie siedział w klubowym barze, ale dobrze było pomyśleć, że jest się prawie w domu. Wyjrzała przez okno, gdy pociąg gnał przed siebie. W zmierzchu i smugach dymu posępne przedmieścia zachodniego Londynu stopniowo stapiały się z lasami i polami hrabstw otaczających metropolię. Ciemność skradała się szybko; dwadzieścia pięć minut później, gdy Louise wysiadła z pociągu w Gerrards Cross, zapadł już kompletny mrok.

Znów została sama, a wokół panowała cisza, ale się tym nie przejmowała – wiedziała, że to całkiem normalne. Gerrards Cross było typowym miasteczkiem South Bucks, tak małym, że właściwie mogło uchodzić za wieś. Jako najzamożniejsza okolica pod Londynem było o wiele za ekskluzywne, by istniało w nim intensywne życie nocne, nawet w piątki. Główna ulica, która biegła przez miasteczko z jednego krańca na drugi, mogła się poszczycić kilkoma

barami i restauracjami, ale były to eleganckie przybytki, i bywalcy pubów raczej do nich nie zaglądali.

Louise wyszła ze stacji, na której o tej porze nie było już żadnej obsługi, i ruszyła ścieżką przy żywopłocie w kierunku parkingu. Stacja Gerrards Cross została zbudowana w głębokim wykopie, na o wiele niższym poziomie niż samo miasto, więc przylegający do niej parking zawsze był ciemnym, odizolowanym miejscem. Teraz, gdy Louise schodziła stromą ścieżką ze stacji, zorientowała się, że nie działa kilka reflektorów. Co więcej, kiedy parking wreszcie się ukazał, pomyślała, że chyba zniknął jej samochód.

Zatrzymała się, zaskoczona, ale wówczas go zauważyła. Był jedynym pojazdem, który pozostał jeszcze na parkingu i stał na najodleglejszym krańcu, pod niskimi, liściastymi konarami bardzo starego kasztanowca. Z powodu braku oświetlenia ten właśnie róg parkingu był całkiem pogrążony w mroku. Ruszyła w tamtą stronę.

I znów usłyszała kroki.

Zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

Ścieżka zakręcała, więc widać było tylko jakieś dwadzieścia metrów. Nikogo tam nie dostrzegła, a kroki gwałtownie ucichły.

Louise wciąż oglądała się za siebie. Nad żywopłotem widać było spadzisty dach stacji. Za nim, nieco wyżej, świeciły latarnie wzdłuż balustrady mostu – możliwe, że usłyszała kogoś, kto pokonywał go pieszo. Ale i tam nie było śladu człowieka.

Zaczęła iść przez parking, który miał jakieś dwieście metrów długości i pięćdziesiąt szerokości, a po prawej ograniczały go gęste zarośla. Louise odniosła wrażenie, że coś się w nich porusza; usłyszała nieprzerwany szelest listowia, jakby przedzierało się tamtędy coś dużego. Jakies zwierzę, pomyślała. W tej części kraju żyło mnóstwo

borsuków i lisów, które chętnie buszowały w nocy.

Potem zobaczyła postać siedzącą pod pnem kasztanowca.

Przystanąła gwałtownie, poczuła zimny dreszcz przebiegający po kręgosłupie.

Czy to jakiś włóczęga, bezdomny? W tej ekskluzywnej okolicy rzadko widywało się kogoś takiego. Był skulony, obszarpany, miał na sobie coś, co wyglądało na brudny stary płaszcz, którego strzępy poruszał lekki wiatr.

Jednak po chwili zdała sobie sprawę, na co tak naprawdę patrzy.

Postrzępiony, skulony przedmiot „siedzący” pod drzewem był tylko kubłem na śmieci wypchanym odpadkami i papierami.

Louise znów poczuła się jak idiotka i pospiesznie ruszyła przed siebie.

Samochód był nadal na wpół skryty w mroku. Jeden bok auta, ten od strony kierowcy, znajdował się tuż przy zaroślach, a wąskie pasmo pomiędzy drzwiami a krzakami kryło się całkiem w cieniu. Jednak teraz Louise myślała już tylko o tym, by jak najszybciej dostać się do domu. Sama napędzała sobie strachu tymi durnymi, bezsensownymi urojeniami. Podeszła więc niespiesznie i śmiało do drzwi od strony kierowcy, świadoma obecności gęstych zarośli za plecami, kiedy przesuwiała machinalnie kluczyki na breloczku. Jednak nie słyszała już żadnych szmerów, a gdyby nawet coś się tam poruszało, to co z tego? Było lato. W zaroślach nocowało ptactwo. Znajdowała się zaledwie sto metrów od Packhorse Common, gdzie widziano jelenia. W każdym razie teraz nie było już nic słyszać.

Otworzyła samochód, wrzuciła teczkę na tylne siedzenie i wsiadła za kierownicę. Chwilę później odpaliła silnik i zaczęła wycofywać samochód z parkingu.

Wyjechała z Gerrards Cross przez B416, kierując się na południe ku Slough. W Stoke Poges skręciła w prawo i jechała dalej na zachód po wąskich, bezimiennych drogach. Noc była wietrzna, ale ciepła, więc Louise opuściła do połowy szybę w oknie. Ćmy i inne owady trzepotały w smugach światła rzucanych przez reflektory. Błysnęły oczy kota, który przemknął drogą. W Farnham Common skręciła na południe w stronę Burnham. Szpalery drzew rosnących po obu stronach drogi zamykały ją jak w tunelu, ich konary spletały się w górze niczym palce.

Louise znów się odprężyła. Od przytulnych domowych pieleszy dzieliło ją tylko pięć kilometrów.

Jednak nagle rozległ się ogłuszający huk, a ona straciła panowanie nad pojazdem. Szarpnęło nim raptownie w dół i od razu zarzuciło go w poprzek drogi. Louise obracała gorączkowo kierownicą, potem mocno nacisnęła na hamulec i wyhamowała z przerażającym piskiem.

Gdy wreszcie samochód stanął nieruchomo na poboczu, siedziała w nim przez chwilę oszołomiona. Jedyнным odgłosem było tykanie stygnącego silnika. Wyskoczyła z auta.

To, co ujrzała, wprawiło ją w osłupienie: przednie opony zwisały w strzępach wokół kołpaków. Tylne również. Zostały dosłownie podarte na kawałki i wystawały z nich połamane szprychy. Okrążyła samochód, nie mogąc pojąć, jak doszło do nieszczęścia. Nawet jedna złapana guma byłaby problemem. Wprawdzie nigdy nie zmieniała koła, zakładała jednak, że umiałaby to zrobić, ale tutaj – w środku lasu, o tej nocnej porze? Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia, bo nie wozila przecież w bagażniku czterech zapasowych kół.

Włożyła rękę do kieszeni żakietu w poszukiwaniu komórki. Będzie musiała zadzwonić do Alana. Był wprawdzie w klubie golfowym i pewnie wypił za dużo

drinków, by móc prowadzić, ale na pewno jest tam ktoś, kto może po nią przyjechać. A jeśli nie, będą wiedzieli, co zrobić.

Nagle Louise zauważyła coś jeszcze.

Trzymała telefon w ręku, lecz palce zastygły jej na klawiaturze.

Jakieś czterdzieści metrów za samochodem coś połyskiwało w świetle księżyca, rozciągnięte na asfalcie. Zaczęła iść w tamtym kierunku, ale zatrzymała się w połowie drogi.

To była kolczatka, a przynajmniej zdawało jej się, że taką nazwę nosi ta blokada z gwoździami, używana przez policję do zatrzymywania samochodów, w których uciekają rabusie po napadach na bank. Ktoś naumyślnie rozłożył ją na jezdni.

Louise uświadomiła sobie, że się trzęsie. Wycofała się w stronę auta. Czy to robota jakichś chuliganów, jakiejś bandy głupich dzieciaków, które nie wiedzą, co począć z czasem? Czy oznacza to coś bardziej złowieszczego? Nie pozwalając sobie na rozważanie tej drugiej możliwości oraz unikając patrzenia na otaczający ją ciemny las, potruchtała z powrotem do samochodu i otworzyła na oścież drzwi od strony kierowcy.

Przystanęła na chwilę, by się zastanowić: oczywiście nie mogła jechać na samych kołpakach. Mogła jednak zamknąć się w wozie. Tak właśnie robi. Zamknie się w środku i zadzwoni po pomoc. Wgramoliła się za kierownicę, zamknęła drzwi i już miała zablokować zamki, gdy wyczuła czyjąś obecność, po lewej stronie.

Odwróciła się powoli i spojrzała w tamtym kierunku.

Ujrzała go na miejscu pasażera, gdzie usiadł najwidoczniej wtedy, gdy ona zajęła się kolczatką. Był mocno zbudowany i nosił ciemne ubranie: obszerną skórzaną kurtkę, a pod spodem bluzę z kapturem, który

był teraz zsunięty. Miał rzadkie włosy i wielkie, odstające uszy. Ale nie miał nosa – tylko zagłębienie w miejscu brakującej chrząstki – nie miał też powiek, a cała twarz była zapuchnięta i poorana bliznami.

Louise chciała krzyknąć, lecz gruba łapa w skórzanej rękawiczce zatkała jej usta. Druga dłoń, również osłonięta rękawiczką, zacisnęła się wokół jej gardła.

I zaczęła je ścisnąć.